









8822  
20  
EDWARD JÓZEF TEICHMAN.

# LUDZKA KOMEDJA.

CZĘŚĆ PIERWSZA

POEZJE.

NAKŁADEM KOŁA MŁODYCH LITERATÓW  
WE LWOWIE.

SKŁAD GŁ. W KSIĘGAR. E. WENDEGO i S-ki.  
W WARSZAWIE.

1926.









**EDWARD JÓZEF TEICHMAN.**

# **LUDZKA KOMEDJA.**

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

**POEZJE.**

**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63**

**NAKŁADEM KOŁA MŁODYCH LITERATÓW  
WE LWOWIE.**

**SKŁAD GŁ. W KSIĘGAR. E. WENDEGO i S-ki.  
W WARSZAWIE.**

**1926.**

WYDAWALNIA KSIĄŻEK

LUDSKA KOMEDIA

CLASSIC REVISYJA

XXIX

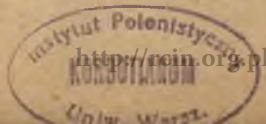
WYDAWALNIA KSIĄŻEK

WYDAWALNIA KSIĄŻEK

WYDAWALNIA KSIĄŻEK

WYDAWALNIA KSIĄŻEK

237



## PRZED-ŚPIEW.

Jak to ciężko, ciężko powiedzieć sobie,  
Że jest się tylko przeciętnym człowiekiem —  
Że jest się jedną z tych mrówek na globie,  
Które płyną porwane mętym życia ściekiem —  
A ich walki o miejsce zażarte  
Są: albo nudne, albo śmiechu warte.

Jak zdechające gady, jęcząc z cicha,  
Płyną, pełzną młodzieńcze porywy  
I żegnają mnie tępym, zawiedzionym wzrokiem;  
A ja stoję nad nimi pół-żywy  
Rok za rokiem....  
Zapodziała się kędyś czoła mego pycha.

Przez okno patrzę na zbór nędznych chat  
Przedmieścia, co są, jak krzywe kurniki  
Pstrzące się różnobarwnych ścian arlekinadą;  
Gdzie się okna zatyka kłębem brudnych szmat —  
W których wnętrzach wciąż dławia się jędz wściekłe  
[krzyki —  
A bachory na pchławych psów karki się kładą.

O, jak ciężko jest pojąć, że tę ludzką nędzę,  
Pieniącą się o łachman, albo chleba kęs,

Ma jeszcze kiedyś czekać piekło, lub zbawienie;  
Kiedy jej by najlepiej było: jak kamienie,  
Zakostnieć — jak głos, przebrzmieć — jak światło,  
[zagasnąć —  
By już nigdy nie powstać w tym, lub tamtym świecie.

Wierzcie: — poznałem ludzi wiele, bardzo wiele,  
Jak słów w banalnej książce, jak głazów w strumieniu;  
Rozmowy z nimi, gdyby je sądzić z ilości,  
Mogłyby stworzyć nowe objawienie —  
A przecie: ten nurt wielki, miał fałą świeżości  
Krzepić, tylko mi duszę zamulił na zawsze.

Kiedy widzę te czaszki o padalczej skroni  
I ich oczy bezmyślne, bezmyślne nad wszystkim: —  
O, jak ciężko jest pojąć, że oni  
Mają być częścią Boga i Jego obrazem —  
Że ich duchy w zaświatach mają stworzyć razem  
Doskonałości niebo, stać się zórz źródłiskiem.

Jednak może się mylę w sądzie towarzyszy?  
Zagładnę w siebie — siebie przecie znać potrafię —  
Słyszysz ten huk kamienny, jak strzały pod fałą?  
Rozklekotane szumią w głębi jakieś młyny....  
— To tak zamki mych rojeń walą się i walą —  
To tak szumią dri moich jałowe godziny....

Czy i ja jestem ogniem na wieczności drodze?  
Czy i ze mnie Bóg stworzy dla raju kolumny?  
Choć znaczenia, jak człowiek głodny jestem — dumny —  
Ale tego zrozumieć nie mogę —

ach, nigdy nie mogę!

**DROGI KRZYŻOWE.**  
**POEMAT.**

**Oskarżycielom współczesnej  
młodzieży o ducha schorza-  
łość — w odpowiedzi.**

WYSTAWA  
KRAJOWA  
WARSZAWA

Lecą chmury wojenne. Krzyk aniołów śmierci:  
 „Koniec formom skostniałym! koniec gnuśnych lat!“  
 Mój ojciec wdział tornister z rudej wołu sierści  
 I żegnał nas ze łzami, w obcy idąc świat.

Nocą słychać gościniec turczący taborem,  
 A pod oknem armaty z brzękiem pędzą w mglicy —  
 Żandarmi powiesili szpiega gdzieś pod borem —  
 Straszliwe krążą wieści o rzeziach granicy.

A potem miasto milknie. Rezerwy ostatki,  
 Odchodząc, obiecują wrócić po miesiącu.  
 Północą chłopci uchem lgną do ziemi-matki,  
 By rankiem donieść miastu, że czuli ją drżącą.

Aż wreszcie, dnia pewnego na zamiejskiej rzece  
 Warknęły tępo miny — już zerwane mosty.  
 Mdlejąca z trwogi matka przed krzyż niesie świece —  
 A babka jęczy w kątach i zaostrza posty.

Pamiętam wzrok braciszka, gdy tuli się do mnie —  
 Rozumne miał smoliste czarodzieja oczy —  
 Lecz wówczas strach je rozwarł na twarz mą ogromnie,  
 Jakby brat mój śmierć przeczuł, że po niego kroczy.

Był młodszy, więc w nieszczęściu tuliłem go zawsze;  
Kapłana czując godność kładłem w ten splot bratni;  
Przy piersi mej dziecinnej miał sny najlaskawsze —  
Lecz wówczas tak ścisnąłem, zda się, raz ostatni.

## II.

Cały dzień, o rozpaczy, armaty hurkocą;  
Nad miastem stali dziki śpiew;  
Od wzgórzy wrzawę szturmów słychać cichą nocą;  
Okropny krzyk z pod ludzkich trzew.

Kozaków czarne sotnie płyną nieprzerwanie,  
Chwieje się morze końskich łbów;  
W szeregach, jak świst wichrów, kobz skowycze granie,  
A śpiew, to larum wciekłych psów.

Lecz nigdy nie ujrzałem tej chmury z powrotem —  
A tylko czasem, gdy świat dniał,  
Przegnały miastem wozy obluzgane błotem  
Z szczątkami ludzkich ciał.

Codzień przed moje okna trumny na lawetach  
Żałobny odprowadzał marsz;  
Z trąb głucha rozpacz śmierci na miasto ocieka....  
— Tu Panie zwróć swą ślepą twarz!



Pamiętaj o nędzarzach, którzy z sal trupiarni  
Śmiali się do mnie skrzepem zwłok —  
A potem przez sny dziecka szli, jak dżuma, czarni,  
W słup wbijać mój strwożony wzrok.

W tych izbicach posepnych, gdzie z ciał maż wycieka,  
A szkliwo ócz ssie muszek rój,  
Uczułem pierwszą litość dla nędzy człowieka —  
Tam powstał wielki smutek mój.

### III

Widzę, jak stąpasz nocą po komnacie —  
Gdy lustra brzęczą i ucichną myszy,  
Głos twój mnie woła z zwałów czarnej ciszy,  
Rąk twych dotknięcie czuję w czaszce, bracie.

Potem przy łożku, werandzie, lub pulcie,  
Oczy twe białkiem nabiegną w orbitach,  
Palce ci w haki zakrzywią konwulsje  
I ciałem trzęsie „tan świętego Wita“.

Tak było wówczas — w ów wieczór jesieni,  
Gdy po rabunku kozackim w przedmieściu,  
Z skargą niewinnych swoich latek sześciu,  
Rzekłeś, że świat ci się w oczach czerwieni.

A potem zbladłeś — skurcz zgiął twe kolana —  
Krzyknąłeś z trwogą, że nóż czujesz w skroniach,  
A z warg rzęzących biała wyszła piana: —  
To szal cię dopadł i rozdzierał w dłoniach.

Stój babko! — poco zapalasz gromnicę?  
O, nie krzycz matko w boleści obłądzie!  
Śmierć nam sprowadzisz: szturm wre skroś ulice;  
Patrz: syn twój omdlał spokojnie — żyć będzie.

Żył. Jeszcze kilka lat niezmiernej męki;  
Tylko zagasty czarodzieja oczy;  
A brat, z koszmarem łamiąc się zwycięskim,  
Truchlał, uczuwszy, że myśl mu się mroczy.

Czasem, gdy siła ataków osłabła,  
Wysilał próżno mózg swój skołatany,  
By pojąć trudną mowę abecadła —  
Błagał: „ucz czytać mnie, Edku kochany“.

Hej, żal rozpiera, gdy wspomnę te ciche  
Łzy, co mu w oczach błyszczały z wesela,  
Kiedy w kajecie lalki kreśląc liche,  
Wołał, że nasze zdolności podziela.

Ale, jak wilgoć ssie słońce Sudanu,  
Choroba myśl mu wyżerała co dnia —  
Już coraz rzadziej budził się z omanu,  
A potem zagasł, jak w wichrze pochodnia.

Cicho dziś u mnie. Jak światło w pryzmacie,  
Tak się rozszczepia dusza w dniach bóleści —  
I szerzej świeci po kochanej stracie,  
I tęcz litości więcej w sobie mieści.

#### IV.

Od tego czasu minął rok —  
Do klasy szedłem trzeciej —  
I w życie uczyniłem skok —  
Niezwykły skok dla dzieci:

Poznałem się już z zmysłów grą;  
Poznałem rozkosz ciała;  
Dziewczyna, gdy ją żądze żrą,  
Kochankiem mnie wybrała.

Dziś już ponad nią trumny ziab  
W wiedeńskim cmentarzysku,  
A mnie, jak gadzin mrących kłab,  
Zdławiła więcierz zmysłów.

— Pamiętam ten spróchniały strych  
I zaproszone bety,  
Gdziem poznał pieszczoł zgniłych szych  
I słodycz ust kobiety.

Choć jeszcze dobrych kilka lat  
Dzieckiem mi czas był zostać,  
Zepsucia zaszczepiony jad  
Gryzł mą anielską postać.

Odtąd dumałem dzień i noc:  
(Brud myśl mą docna zarzegł;)  
Czy rozkosz płci to bytu moc?  
Czy świetny wynalazek?

Dziś, gdy w dzieciństwa wrócę próg,  
Żal ślad mych wspomnień znaczy,  
Żem skalał je .... Lecz tobie Bóg,  
Dziewczyno, niech przebaczy.

## V.

Zamknięte szkoły, puste kościoły,  
Zato w koszarach uciech rój nas czeka:  
Sybirskie woły wbite na koły,  
Brodaty kuchta przy kotle się wścieka.

Zimno i nędza z domu wypędza,  
Matka łązy leje nad dzieci niedołą;  
Chmurnych dni przędza — gorycz, jak jędza,  
Rany nam w duszy zaciera solą.

Kociołek w ręce, do koszar pędzę;  
— W domu już tydzień prawie nic nie jadłem —  
Jest nas tu więcej — same dziecięce  
Twarzyczki z zimna i nędzy wybladłe.

Oto zielone, długim ogonem;  
Śmiejąc się, staje przy kotłach żołdactwo —  
Cmoka warg gronem nad makaronem —  
Z boku my wiercim się, jak głodne ptactwo.

Z mej prawej strony kacap wzruszony  
Wylał dziewczynie swój posiłek cały; —  
Jak upragniony mi klej ten słony,  
Te krwawe mięsa w kociołku kawały.

Już coraz puściej — zdyszani kuchci  
Szorują kotły — w kasarni śpiew —  
„Chleba czarnego spuści nam, spuści!  
O, Panie — oczy mi zalewa krew.“

A dziś po latach, w nędzarza szatach,  
Znowu przy kotle stoję Panie nieb  
I równie darmo, jak tam za karmą,  
Żebrzę o ducha wiekuisty chleb.

VI.

Umierałaś ma siostrzyczko  
Złotowłosa, cicha;  
Trzęsą twe blednące liczko,  
Ojciec przez łyzy wzdycha.

Nazbiegali się sąsiedzi,  
Wielki płacz wokoło;  
W lokach, jak w szyszaku z miedzi,  
Stygnie twoje czoło.

Rączek jeszcze dyg w powietrze,  
Rozwarte powieki —  
Smutku źrenic tych przez wieki  
Pamięć ma nie zetrze.

Doktór słucha przy twych sutkach  
I łeb trzęsie siwy;  
Krzyk mej matki przeraźliwy:  
„Ludka! zostań, Ludka!“

Między graty do spiżarni  
Wpadłem ryknąć płaczem —  
Dwaj sąsiedzi przyszli czarni:  
„Czego płaczesz? za czym?“

„Konfitury masz w tym słoju,  
Pociesz się chłopczyku;  
Twa siostrzyczka już w spokoju  
Igra na wietrzyku.“

Precz uciekłem, by w odludziach  
Z bolem zostać w lidze;  
Wstyd mi było łez przy ludziach  
— I do dziś się wstydzę.

Do dziś kryć swe troski wolę  
Samotności chmurą;  
Bo świat na najświętsze bole  
Leczy: — konfiturą.

## VII.

Do spowiednicy z świętą szedłem trwogą.  
Suchy ksiądz sennie szeptał w niej pacierze,  
A nad nim tłusty anioł bosą nogą  
Z gipsowym piekiel zmagał się rycerzem.



Wpierw przed ołtarzem, w pokorze pastuszej,  
Myślałem z trwogą, że, by dojsć łask nieba,  
Grzech nieczystości mi wyznać potrzeba,  
Co, jak guz dżumy, stwardniał w mojej duszy.

„O, zejdź z ołtarza święty Sebastjanie!  
Stanę na miejscu twojem poślacanem  
I niech zadają mi ranę po ranie,  
Tylko idź wyznać srom mój przed kapłanem!”

Lecz święty dalej konał od ran złotych —  
Kościół, jak serce krwią, nabrzmał zachodem —  
Z pożarem w czaszce, w kręgosłupie z lodem,  
Kląkłem, gdzie czarta deptał anioł bosy.

Jako posępne wspomnienie pogrzebu,  
Niosę w świat pamięć swej pierwszej spowiedzi;  
Sumienia głuchą gorycz stawiam niebu,  
A ziemi usta, jak brzękadła z miedzi.

Za kratą pieniał się bezmyślny klecha,  
Krzykiem obudził kilka głuchych bab,  
Z nudą chirurga grzebał w moich grzechach,  
Aż wstyd i żal mój zagniółł — nędzny rab!



Poco mnie matko stroisz w mirt i biel?  
Czemu mnie gwałtem ciągniesz do ołtarzy?  
— Boję się Boga z spowiedniczych cel;  
Ohyda śmierci ziębnie mu na twarzy.

O, wskreśnij Wielki! — świst armatnich kul  
I wrzawa szturmów niech Cię zbudzi z krzyża!  
— Taki ogromny wzięłeś na się ból  
I tylko głowę znizas... znizas... znizas...

### VIII.

Szumi gościniec. W porannej ciszy  
Tysięcznych kopyt słycać w dali grzmot;  
Na wzgórzach hełmów ćma się w słońcu błyszczący  
I skrzą bagnety prostokątnych rot.

Wśród pogorzeliśk czarnych roztoczy  
Wzrok od łez krwawy podnosi tłum  
I, patrząc w przestrzeń, przysłania oczy —  
Trąb słycać granie i jazdy szum.

Przed tłum krzyczący i zgłiszczy dymy,  
Jak śmierć skostniały, jedzie zbrojny lud —  
Żują wędzidła konie olbrzymy,  
Umarli jeźdźcy prą je skurczem ud.

Orkiestra w rotach zagrała marsza,  
Broń silniej ścisnął germański chłop;  
Pycha na wojska czołach monarsza —  
„Ominiem Boga! zdepczemy glob!”

„Litości w sercach zatruc probierze —  
Jedna nam gwiazda od setnych lat:  
Naprzód, wciąż naprzód, Niemcy-rycerze!  
Ominąć Boga! ujarzmić świat!”

„Germanji genjusz wspomoga miecze,  
Chytróść wyłamię nas z pod ludzkich praw;  
Za naszą sprawę ludów krew ciecze —  
Orle cesarski zwycięstwo spraw!”

Przez tydzień ginął i nie mógł zginąć  
W przestrzeni pochód germańskich lwów;  
Płynął i płynie i będzie płynąć  
Nieszczęścia świata wieczny zły duch.

## ZAKOŃCZENIE.

Z rąk umyli krew rozlaną, krwawce,  
I pług wiodą, podśpiewując, glebą —  
Na modlitwie, jak na huśtawce,  
Odbijają się cicho ku niebu.

Po kawiarniach gra w nocy kapela;  
Rozkosz kupczą dziewczęta i panie.  
W czarnych frakach przy siwym kapłanie,  
Płyną białe wesela, wesela....

Przez zasieków pordzewiałe fronty,  
Dziś spokojne ekspresy migocą;  
Paryż rano zasypia o piątej —  
Na gitarach gra Wenecja nocą.

Tylko czasem śpiew milknie Selenów  
I pijacy kostnieją w Szampanji,  
Gdy szcękł broni wiatr przydmie z za Renu  
I miarowy krok pruskich kompanij.

W Monte Karlo szulerów ćmę jedna  
Rozpacz wściekła, gdy dojrzą w fantazji:  
Ciemną Rosję, jak nożem się żegna,  
I fetyszów bębniących po Azji.

W imię „ludów wolności“ odchodzą  
Na kontynent dzikich zbirów legje —  
Rzęzi głucho skaliste Marokko,  
Krzyż na piersiach nacięto mu biegle.

W imię „ludów wolności“ Słowację,  
Po niemieckich, dziś czeskie drą krzyże.  
Nie potrzeba odchodzić daleko,  
Są i bliżej, zaprawdę, są bliżej!

---

Tu się kończy litanja żałobna.  
(Popiół suchy po piorunach Etny.)  
Sercem czujnem przemierzy ją do dna  
Człowiek wielki i człowiek szlachetny.

---

**FATA MORGANA.  
OPowieść o miłości.**

**Nikommu nie poświęcam.**

WYDZIAŁ FIZYKI  
KATEDRA MECHANIKI  
FIZYCZNEJ

## PRELUDJUM.

Bzy pachną. Prawda, jak bzy dzisiaj pachną?  
Przed chwilą padał ciepły deszcz majowy,  
Ale już ustał. Za oknem się srebrzy  
Cieńki rogalek miesiąca po nowiu.  
W miejscu, gdzie wśród zbóż dniem błyszczą  
[gościeńiec,  
Chwieją się teraz płynne stożki światła,  
Podobne złotym dzirytom, płynącym  
W ciemność podstawą mglistego trójkąta.

To samochody. Ognistem spojrzeniem  
Badają drogę swej nocnej pielgrzymki;  
Trąbią i, gniewnie mrugając rzęsami  
Lamp, giną skryte niewidzialnym szkarpem.

Pędzą tak pewnie. Znać, że dobrze znają  
Cel swej podróży. Jakże im zazdroścę  
W ten woniejący wieczór bzów, gdy zbieram  
Wszystkie rozbicia mych młodzieńczych rojeń.

Oto historia jakich sto tysięcy;  
Na którą każdy ramionami wzruszy;  
O której nawet sam nie myślę więcej,  
Choć mi zabrała najlepszą część duszy:



Mówią, że przed nieszczęściem można dostrzec znaki  
Śmierć na koniu przed wojskiem, komet pełne szlaki —  
Ktoś nas w drzemce dotyka ziół wędnących pękiem —  
Jakieś szepty w powietrzu — światła gasną z jękiem...

---

Lecz świat był cichy, spokojny ogromnie,  
Gdy ty — Elko moja — przyszedł do mnie.



Poznałem ciebie w latach wielkiej nudy,  
Gdy się dziecięce przesilą ułudy,  
A w świat tęskniący wychodzi młodzieniec,  
Żeby się zaprząć w wielkich duchów wieniec.

Kiedy nie znajdzie ich, naprzód z zdumieniem  
Jeszcze swym młodym oczom niedowierza —  
Potem się budzi w sercu podejrzliwość  
W wartościowaniu współziomków — i gorycz —  
I młode orlą w mgłach leży zatrute —  
I już spojrzeniem zgasłem mierzy ludzi....  
Apatji pełne, nudzi się, ach, nudzi.

Która zawładniesz tą porą, dziewczyno,  
Możesz być bóstwem, zostaniesz jedyną.



Panna była miła.  
Umiała wdzięczne rozdzielać uśmiechy;  
Umiała spojrzeć tak, że, gdy patrzyła,  
Dusza paliła się w piersiach złowieszczo.  
Potem szły tańce zawrotne, wirowe,  
W których czar spływa z uścisku, a głowę,  
Niby niechcąco, loki panny pieszczą.

Sam nie wiem kiedy stałem się zwierciadłem  
Jej uczuć. Okiem ją ścigając śmiałem,  
Kiedy się śmiała, razem z nią się śmiałem,  
Jeśli pobladła przypadkiem, ja bladłem.

Byliśmy sobie bliscy i przyjaźni,  
Bo wciąż wierzyła w przyjaźń, a w nic więcej;  
Tylko stawaliśmy się zbyt poważni;  
Czasem podstępnie ściskałem jej ręce,  
Blednąc, gdy czułem, że jej dłoń w mej mdląła.

W piersiach już gorzał ogień groźny, skryty,  
Który się w oczach rozpałał w błękity —  
Dusza bezwiednie uległa mu cała.

Ustawiał świergot jaskółek na wietrze:  
Słowa zdawały mi się cięższe, bledsze;  
Bo jakże mało wyrażała mowa,  
Kiedy pytałem: „co robi?” „czy zdrowa?”

Tak mordowany musi krzyżeć człowiek,  
Jak nieraz, krzyżąc, budziły się zmysły;  
Z wściekłością szczurów skakały do powiek —  
Pierś mą, szczekając nienawistnie, gryzły.

Bolesna lubość nagle ciało pręży —  
Stężałe szczęki i przymknięte oczy....  
Rozkosz jej nagich ud, jak chybkich węży....  
Wypukłość piersi.... ramion skłon uroczy....

Taka stawała przy mnie ciemną nocą,  
Gdy zimne gwiazdy przez szyby migocą.  
Stawała w włosów owinięta szale —  
Warg jej drapieżne śmiały się korale.

Lub, osłoniwszy się wstydliwym gestem,  
Wabiła każdym skłonem, ócz spuszczeniem:  
„Patrz, jaka piękna i oddana jestem —  
Lecz wara żywej! Szalej z błędnym cieniem.“

O, nieśmiertelne żądz śmiertelnych piekło!  
Duszy mej walki z szatanów gromadą,  
Gdyś ciało drżące z szału w otchłań wlekło,  
Niech mi za wieczne potępione staną.

Wy, którzy, boskie mierząc tajemnice,  
Ziemi tej ledwo dotykacie ciałem —  
Wy, co przejęliście na swoje lice  
Łzy tego świata, by ich srebrnym miałem  
Pod Chrystusowe stopy siać w pokorze —  
Znać: musieliście krzykiem z tego ładu  
Błagać litości nad mej męki szałem,  
Żem nie wzniosł pięści przed oblicze boże,  
Gdy przyszedł na mnie dzień Pańskiego sądu!

A był to cudny, pierwszy wiosny ranek.  
Była to chwila, gdy w łozach nad rzeką  
Pękają bazy bieluchne, jak mleko,  
A kraj wygląda od nich, jak baranek.  
— Była to chwila, gdy nędzarzy tłuszcza  
Nory swe z krzykiem radosnym opuszcza  
I czarną twarzą śmieje się do słońca.

Rzekli mi ludzie, żeś jest konająca.

\*

Pierwszy raz w życiu uczułem, że głowę  
Lekko jest ugiąć i przygarbić plecy.  
Pytano skąd mi to lice woskowe?  
Ten wzrok, jak płomyk zły gasnącej świecy?  
Skąd mi ta zmarszczka przedwczesna na czole  
I zadumanie nad człowieczym bolem.?

Dojrzałem z dziwem, że mam milion braci,  
Co pod płotami giną skowyczący;  
Tych, którzy straszą nas nędzą postaci —  
I cichszych — ducha jałmużny żebrzących.

A miasto — wczoraj jeszcze lśniące ciszą —  
A twarze — wczoraj jeszcze bez wyrazu —  
Dziś wyskoczyły nagle z ram obrazu!  
Spazm je wykrzywił okropny, że dyszą!  
Ból, jak piekielne je zalał jeziora!  
Przepalił w licach mięśniów postronki....  
— Ujrzałem przepaść, w której czarnych norach  
Nawet Pan Jezus nie potrząsa dzwonkiem.

\*

Po dniach upadku, straszną woli mocą,  
Dobyłem męski hart nad męki nocą.

A dusza była nawet taka pusta,  
Że wyłoniła coś, jak śmiech, na usta.

Książkami jałem myśl obarczać, trudzić,  
Lub uciekałem pomiędzy kobiety:  
Pieścić, drwić, w słowa świecić, jak w rakiety.

— Lecz zato nocą nieskończoną, ciemną,  
Gdy nikt mnie nie mógł osłonić, nic złudzić,  
Bóg mi ją zsyłał, by cierpiała ze mną.

Potem już cisza przyszła taka głucha,  
Jak śmierć człowieka i zatrata ducha.  
Za siódmą górą i za siódmą rzeką  
Wszystko zagasło, pobladło, daleko —  
Śmieszne i smutne, głupiutkie i rzewne;  
Znowu dostrzegłem, jak dni nudno cieką,  
A tak jałowe, jak zielska pastewne.

Czasami tylko jakiś sen zgłupiały  
Odtńczył pawi korowód przypomnień,  
Pachniał wzruszeniem, jak miodną pasieką,  
Że, choć zbudziłem się, nieraz przez cały  
Tydzień buzował we mnie jego płomień.

\*

Praca. Mozolna, wiekuista praca  
Wprzęgła mnie w kierał i myślą obraca.  
Ten duch postępu, zapłata i kara,  
Odtapia z grzbietu wosk skrzydeł Ikara,  
Że, szybujący po błękitach zawdy,  
Dziś tylko szukam biednej, ziemskiej Prawdy.

Wiem, że tu wszystko jest jeno złudzeniem:  
I ból, i miłość, i śmierć, i istnienie,  
I czas, i przestrzeń, i bezmiar wieczności....

Lecz, mimo sądu, wracają godziny,  
Że, mym korabiom płynącym w ciemności,  
Śpiewam o walce i napinam liny.

## ZAKOŃCZENIE

W ustach gorączka. — Piach spiekły, od słońca,  
Zakostniał w żebrach wydm. Niebios a szkliste  
Biegną wraz z piaskiem w jar świata bez końca,  
Śmiertelnie blade, milczące, wieczyste.  
W zenicie słońce, jak kula siekająca  
Ogniem. Śmierć wkoło. Nieba jedna skaza  
Nie maści.

Nagle ktoś krzyknął: — „oaza!!“

Już pędzą! Palmy im życie powrócą.  
Źródła im dadzą moc do dalszej drogi.  
Już cel znaleźli! — i już się nie smućą.  
Widać palm kępy i chaszczy ostrogi....

Resztę sił z piersi spieczonych dobędą!  
Byle by prędzejl — Byle by się grzędą  
Piachów niezmierną do oazy wdarli!  
Resztę sił! — Oto kępa się wysinia!....

Fata morgana.

Stoją, jak umarli.  
W powietrze zwiąło się widmo tęczowe.  
Wokoło groźna, zakrzepła — pustynia.

Idą. — Tysiące mil przed nimi nowe,  
Póki ich inna zjawą nie omami.  
Idą posępni, z ciemnymi twarzami  
W ten cel, co może nawet jest bezcelem.

Gromady ludzkich dusz idą z rozpaczą —  
Każdy cel zwiewny witają z weselem,  
A każdy zawód rzęsiście opłaczą.

Aż dojdą tam, gdzie kończy się Morgana.  
Gdzie dążą wieki i wieków tysiące.  
— Cel swój odnajdzie błędna karawana  
Tam, gdzie zasypią ją piaski grające.

---



## ŻYDZI ORTODOKSI

Żydzi — ten naród czarny, rojny i krzykliwy.  
Żydzi — to zeszcłe szpony, to hajderów stęki.  
Żydzi — to duch skarłały, a wzrok grosza chciwy.  
Żydzi — to brudnych chałup i cmentarzysk pęki.

Bez ojczyzny, — tułacze pogodzeni z losem —  
Oblepili świat cały ruchliwym mrowiskiem.  
W szabasy wielbią długo Boga smutnym głosem.  
Potem pędzą za zyskiem — za zyskiem! — za zyskiem!!

Bogacz, nędzarz — ci jaśni i ciemni anieli —  
Znają się. I jednego drugi się nie wstydzi.  
Jeden Bóg ich połączył, chociaż dola dzieli.  
— „My Żydzi!”

Tchórzliwi pojedynczo. Zuchwali w gromadzie.  
O ognistych spojrzeniach w młodości. Namiętni.  
Rozmnażają się szybko, zachłannie w swem stadzie.  
Podszeptom lubieżności ulegli i chętni.

Po latach — trupie twarze, rozpaczne rąk drżenia,  
Brody ciężkie, jak strzechy, oplwane i wszawe.  
W talmud wtapiają oczy kose i kaprawe.  
Z pozółkłych kart ssą gorycz i boleść stworzenia.

Na cmentarz ich wynoszą w pakach. Płaczki brudne  
Potrzęsają skarbonki i krzyczą na mary.  
Tam, gdzieś — mogił marmury białe i bezludne —  
Spiekle w słońcu — i wieczność — i Adonaj stary.

## CZŁOWIEK Z HALI

Motorów śmiech gardłowy. Wind turkot i brzęki.  
Przenoszone pod sklepem brył żelaznych tony.  
Rdza w powietrzu. Oliwy smród. Kuźń krwawe wnęki.  
A w środku: on, genjuszem swej pracy zmiążdżony.

Pan i sługa wszystkiego — nikły, szary człowiek —  
Jak mrówka, niknie w tworów swych olbrzymich cieniu.  
Huk go maszyn ogłusza. Skry skaczą do powiek.  
Świat Gigantów wydzwignął w swych czynów promieniu.

Materją opętany, duch zamiera w ciele.  
Człtek pragnie mur ten przebić w godzinach spoczynku.  
W sobotę z kamratami zapija splen w szynku.  
W niedzielę idzie przestać się kwadrans w kościele.

Niedorozwój uczucia. Żądze, jak sprężyny,  
Poszukują upustu. Żona. Prostytutka.  
Dzieci rój. Kłótnie w domu. Dla pociechy, wódka.  
I maszyny. Piekielne — zgrzytliwe — maszyny.

## OSTATNIE

Inny, odrębny świat. Płaskie, tępe gęby,  
Bezmyślne, niskie czoła, spojrzenia wyszklone —  
Śmieją się męskim śmiechem, wyszczerzają zęby,  
Potracając biodrami przechodni — to one:

Prostytutki. — Gromada wykleta, zwierzęca,  
Zła, złośliwa, bo nędza jej radość wyjada;  
Głód je morzy, lecz wódka do knajp brudnych znęca;  
W pijaństwie traci pieniądz ich ćma nędzna, blada.

W dzień spią — a wieczorami mrowią się w chichocie;  
Pstrokacizną kolorów wypełniają place  
I wsiąkają w noc zwolna. W szynkach, lub przy płocie  
Oddają zwiędłe ciała za mizerną płacę.

Bezmyślne bryły ciała, kłątwa i zgnilizna  
To ich żywioł straszliwy. Oplątane w matnię,  
Wciąż marzą o dostatku, jaki im los przyzna —  
Gżą się i zamierają — te z ludzi — ostatnie.

Trup nędzny, gruby szkielet, jak pergamin, skóra;  
Zamarłe w jęku oczy, jak zwiędłe stokrótki —  
W trupiarni pełnej cienia zimna i ponura  
Leży dola — ostatniej z ludzi — prostytutki.

## DEMONSTRACJA

Długie, ciemne szeregi ulic ciągną wiankiem.  
Mężczyźni, dziady, dziewczki, smyki zasmolone.  
Na przodzie, gdzieś muzyka brzęczy marsyljankę.  
Nad tłumem krwawe tarcze i płachty czerwone.

Brudny, cuchnący potem, oddział za oddziałem  
Wlecze się. Twarze grube, zorane zgryzotą.  
Ciągną nogę za nogą. Przygarbieni ciałem.  
Z czymś uśmiechem, lub chmurni brną przez ulic błoto.

Czasem śpiew się porywa pomiędzy tłumami.  
Dudni martwo, jak głuchy kaszel suchotnicy.  
Skrzydłami trzepie chwilę — i w błoto ulicy  
Pada z jękiem. Czerń chmurna depce go butami.

I tak dalej gdzieś ciągnie ogłupiałą ławą.  
Staje. Mowcy jałowe wyją do niej mowy.  
Tłum drzemie, albo chwieje patryjarchalnie głowy.  
Na krzyk z przodu ocuca się i wrzeszczy: „brawo!!”

A potem się rozlewa. Po ulicach szuści.  
Niedołężna myśl kłębi się w głowach tysiąca.  
Doktryna resztę duszy w chaos rojeń wtrąca.  
A tłum wrzawą uspiońy ciągnie ku czeluści.

## KOPALNIE

Wężowisko tuneli ciemnych. Śwąd wilgoci.  
Belkowania kształt kruchym włączające ścianom.  
W ciemności lamp mruganie. Huk oskardów kroci.  
To kret-człowiek królestwo wydiera szatanom.

W dali huknęła mina — w galerjach gra echem.  
Gdzieś winda z świstem wpada w martwą noc kopalni  
I wentylator mruży potwornych płuc wdechem —  
Turkot wózków i ludzie krzyczą niewidzialni.

W podziemnych korytarzach śmierć skrycie się wlecze  
I czasem szyb górnikom osypie na karki —  
To znów zapala gazy od knota latarki,  
Albo w miałe węglowym pożary rozpiecze.

Czasem zalew podziemny sztolń podmula słupy  
I wydiera kilofy kopaczom przy pracy.  
A potem jęczą pompy. A potem strażacy  
Wynoszą bohaterów obowiązku — trupy.

Ogromna, pyszna praca, aż do jądra globu.  
Zdobyczy żądny genjusz z ziemi zdziera pleśnie.  
Choć czasem kilku ludzi umiera przedwcześnie  
I czarny Chrystus kopalń uśmiecha się — z grobów.

## POGRZEB

Tramwaj stanął wśród drogi. Apatyczne twarze,  
Ocknięte wstrząsem wozu, przez szyby wyjrzały.  
Środkiem rojnej ulicy szli, para po parze,  
Krzyż, chorągwie, karawan, ksiądz i orszak mały.

Korowód mijał ludzi. Jak garść czarnych moli,  
Włókł się z ulic w ulice; wypełzał na place.  
W fałszywym pienu księdza, garstka gnilca w pace  
Na skład próchna ludzkiego ciągnęła powoli.

Pogrzeb przeszedł. Z dorożek trzaśnięto na konie.  
Tramwaj szumiał po szynach i sypał iskrami.  
Powrócono do gazet i ziewania w dłonie.  
Nikt nie myślał już o tym, co przeszedł przed nami.

Ktoś umarł. Nie dostrzegły ubytku miliony.  
Koło życia szło dalej w tępej niezmienności.  
On tylko, umierając, widział świat skończony.  
— Zaślepieniec znaczenia i własnej miłości.

## EPIZODY Z CODZIENNOŚCI

Nauczyłem się myśleć długo. Tak, jak długo  
Ludzki genjusz rozmyślał, jakby zabić ducha.  
I znaleźliśmy razem cyfrę, warsztat, stall

Szumi świat od kół turkotu.  
Świst pasów i syren śpiewy,  
To nasze nieśmiertelne dzieło.

Poza drzwiami, w dźwiękach mandoliny,  
Prostytutka tańczy z mym kompanem.  
Pijacki śmiech zdławili pocałunkiem.

Do świtu jeszcze ze trzy godziny.  
Bardzo bladzi jesteśmy nad ranem.  
Lecz to nic — wzmocnimy się trunkiem.

Coraz dalej — usuwa się dno.  
Ręce — zakrótkie, żeby objąć niebo —  
Ziemię oplotły zachłannie.

Wydrzeć jej treść najgłębszą  
Najpłytszej beztreści! —  
Potem niech koniec się stanie.



A romantyczny ten wędrowiec: dusza,  
Niechaj w sandałach nad Cedron wyrusza,  
W oliwnym gaju w łzach skonać czempzędzej.

(MODLITWA HAL MASZYNOWYCH I BANKÓW:)

„Daj nam: — pieniędzy!!“

Dlaczego bluźnię? — Bo mi źle.  
Bo szukam celu swej istoty.  
Ten, co mi wskazać mógł go, w mgle  
Skrzył się za groźny cypl Golgoty.

Natężam myśl. Niech z Bogiem gada.  
Niech mówi, choć na własnej stypie.  
On głębiej w przestwór się zapada  
I piach mych bluźnierstw w twarz mi sypie.

Na zapalone w chmurach krzyże  
Patrzę, jak w widmo tajemnicze.  
I nie pojmuję go — i liczę,  
Że przecie kiedyś dojdę bliżej.

Niskie są nieba bram przełazy.  
Dla butnych głów najniełaskawsze.  
Wracałem stamtąd tyle razy —  
I wracać będę może zawsze.

## MOZAIKA

Gwiazdy wciąż świecą i wciąż słońce płonie  
I księżyc błyska swą umarłą twarzą.  
Głodówką więźniów zbuntowanych karzą,  
A śmierć popędza nowożeńcom konie.

Wichry szaleją i zorze czerwone  
Witają graniem zbóż wschodzące słońce.  
Pienią się rzeki w morza mknące stronę,  
Przez parne pola rumiankiem pachnące.

Pod topolami dziady przez nos buczą,  
Spiąc w rozchełstanych na piersi koszulach.  
Od pacholęstwa dręczą nas i uczą.  
Szpital warjatów o północy hula.

Drobne radości wielkie męki mażą.  
Korowód czartów aniołów oplata.  
Tylko nadzieja prze nas wzdłuż dróg świata,  
Że dojdziem końca — z uśmiechniętą twarzą.



PRZYPISUJĘ:

DROGI KRZYŻOWE — — — — — WP. W. Zosłowi.

POGRZEB — — — — — WP. M. Rozenbaumowi.

PRZED-ŚPIEW — — — — — M. Korczowskiemu.

MOZAIKĘ — — — — — M. Sałabajowi.

AUTOR













K.  
237